

A close-up photograph of a person's eye, looking directly at the camera. The eye has a striking golden-brown color. The entire image is overlaid with a cracked glass effect, with jagged, white and blue-tinted cracks running across the face and eye. The background is a soft, out-of-focus light blue.

LAURA ANDERSON KURK

RYSA
na SZKLE

Tytuł oryginału:

Perfect Glass

Autor:

Laura Anderson Kurk

Tłumaczenie z języka angielskiego:

Joanna Olejarczyk

Redakcja:

Agata Tokarska

Korekta:

Dominika Wilk

Opracowanie graficzne:

Alicja Malinka

Skład:

Anna Brodziak

ISBN 978-83-66977-23-5

Zdjęcie na okładce: Giovan Battista D'Achille / Trevillion Images
Alexis / Pixabay.com

© 2013 by Laura Anderson Kurk

© 2021 for the Polish edition by Dreams Wydawnictwo

Dreams Wydawnictwo Lidia Miś-Nowak
ul. Piotra Skargi 4, 35-202 Rzeszów
www.dreamswydawnictwo.pl

Rzeszów 2022, wydanie I

Druk: Lega

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych, przekazywana w jakiegokolwiek mechanicznej, elektronicznej lub innej formie zapisu bez pisemnej zgody wydawcy.

LAURA ANDERSON KURK



RYSA na SZKLE

Tłumaczyła Joanna Olejarczyk

*Dla Mary Schasteen, przyjaciółki i artystki,
ponieważ widzi mnie taką, jaka jestem*

*W mądrości swojej dał ludziom los.
Nieszczęście! Jak lustro z kryształu –
W nim bowiem widzimy prawdę o sobie.*

WILLIAM DAVENANT

1

meg

Widziałam jedynie jej zdjęcie, zrobione chyba w latach sześćdziesiątych przez jakiegoś słynnego fotografa. Była na nim ubrana w niebieską, bezkształtną sukienkę i stała przy sztaluździe, patrząc na płótno, jakby zawierało w sobie odpowiedzi na wszystkie pytania. Wypięte biodro. Jedna ręka obejmująca talię, skrzyżowana z drugą, dymiący papieros w luźnej dłoni. Wymowne spojrzenie i uniesiona brew. Zapamiętałam wszystkie linie, rysy i cienie.

Siedziałam teraz w jeepie, wpatrzona w jej stary dom. Przechylał się ostro na lewo i miał troje frontowych drzwi – każde pomalowane na jaskrawy kolor. Kręty chodniczek prowadzący do ganku raził jeszcze bardziej.

Wytarłam wilgotne dłonie w dżinsy, po czym zabrałam się do pradawnego ludzkiego rytuału strzelania kostkami palców. Raz. I drugi. Ale nawet to nie pomogło mi uspokoić nerwów. Istniały jednak słowa, które tłumiliły panikę. Na przykład te...

Henry Whitmire jest wart tego i jeszcze o wiele więcej.

Henry Whitmire jest wart tony złota.

Troje drzwi, zamkniętych na cztery spusty, jakby chciały powiedzieć: „Idź sobie”. Drwiły ze mnie.

W końcu środkowe, w kolorze wiśniowym, powoli się otworzyły. *Czy to broń?* Schyliłam się pod kierownicę. Próbowalam wypełnić sobą przestrzeń zarezerwowaną dla kolan, kostek i czasem toreb, których nie powinno tam być, bo mogły się wsunąć pod pedał hamulca. Zanuciłam, żeby się uspokoić.

Moja mama opowiadała o Jo Russell, artystce międzynarodowej sławy, jak o cudotwórczyni. Jej obrazy przedstawiające konie i sterane życiem ludzkie twarze stały się symbolem Zachodu. Jednak wśród miejscowych Jo była znana bardziej z nieprzewidywalnego zachowania niż ze swojej sztuki. W wieku osiemdziesięciu siedmiu lat nadawała nowy wymiar słowu „szaleństwo” – którego nie rzucam na wiatr.

Z półprzymkniętymi oczami wyobraziłam sobie, jak owija się płaszczem, uśmiecha pobłaźliwie i tanecznym krokiem podchodzi do mojego jeepa, żeby mnie powitać. Nie puściłam jednak wodzy tej fantazji, bo fantazje nigdy nie wychodziły mi na dobre.

Nawet jeśli według plotek ta kobieta była wredna, mimo wszystko była człowiekiem. A człowieka da się poznać i zrozumieć.

Zerknęłam ponad deskę rozdzielczą. Opierała się o framugę drzwi. Miała nade mną przewagę, stała wyżej. W ogóle nie przypominała mojego wyobrażenia. Pomachała do mnie, więc chwyciłam torebkę i kluczyki i wyskoczyłam z jeepa. Lepiej się przedstawić, póki jest przy zdrowych zmysłach. W połowie ścieżki zdałam sobie sprawę, że ona wcale do mnie nie macha, tylko mnie odpędza.

– Mam broń, młoda damo.

Jej słowa były wyważone i nieskruszone – ot, przekazywały informację, która w najbliższej przyszłości mogła mi się przydać.

Zastygłam w miejscu i uniosłam rękę.

– Jestem Meg, pani Russell.

Mój głos zabrzmiał cicho i zaskakująco dziecinnie jak na siedemnastoletnią dziewczynę. Przez ostatnich kilka lat przeszłam wiele intensywnych doświadczeń. Straciłam brata, Wyatta. Przeprowadziłam się dwa i pół tysiąca kilometrów od jedyne go domu, jaki znałam. Straciłam mamę, a potem na nowo ją odnalazłam, tym razem głębiej. Zakochałam się w chłopaku, z którym potem się pożegnałam. To spotkanie... z nową osobą, artystką, nie powinno mnie w ogóle ruszać.

– Cokolwiek sprzedajesz, nie kupię tego.

Zmusiłam się, by nawiązać z nią kontakt wzrokowy i wyglądać przyjaźnie. Miała na głowie wełnianą czapkę w kolorach tęczy, była ubrana w narciarskie spodnie moro i poplamiony biały sweter z napisem: „NIE JEM ŻÓŁTEGO ŚNIEGU”.

– Niczego nie sprzedaję, proszę pani.

– Czemu weszłaś bez pozwolenia na mój teren?

Jej twarde spojrzenie pozbawiło mnie pewności siebie.

– Moja mama rozmawiała z panią wczoraj, czy mogłabym pomóc pani w domu... albo przeprowadzić z panią wywiad. Czy przyszłam nie w porę?

– Czy przyszłam nie w porę? – Zaśmiała się i zaklęła jednocześnie. – Kochaniutka, pora zawsze jest zła.

Jeszcze nie spuściła gardy. Jedną rękę miała ukrytą za drzwiami, prawdopodobnie trzymając tę strzelbę.

Zacząłam się wahać. Musiałam to przetrwać, żeby dostać się na Uniwersytet Wyoming z Henrym, tak jak planowaliśmy. Moja mama, kiedy dowiedziała się, że do podania na studia potrzebuję dokumentów poświadczających udział w jakimś wolontariacie, namówiła mnie do przywrócenia dobrego imienia klejnotowi koronnemu Chapin. Utożsamiała się z Jo w sposób, którego nie potrafiłam zrozumieć. „Jo Russell cierpi” – powiedziała mi kiedyś ze łzami w oczach. „Mogłabyś odwrócić jej uwagę od problemów i przekonać ją do ostatniej wystawy w galerii”.

Musiałam więc wykazać się przed Jo, nie zważając na zagrożający mi śrut. Zadzwoniłam zębami i owinęłam się ciasnej kurtką przed ostrym jesiennym wiatrem.

– Pani Russell, czy naprawdę celuje pani do mnie ze strzelby? – Nie chciałam, żeby to zabrzmiało aż tak bezczelnie.

– A wyglądam na kogoś, kto skłamałby na ten temat?

Tak? Nie? Może...

– Nie przyszłam pani niepokoić. Po prostu... staram się o przyjęcie na studia pisarskie, a moje podanie jest trochę nudne.

– Jednowymiarowe – poprawiła.

– Słucham?

– Chodzi ci o to, że twoje podanie jest j e d n o w y m i a r o w e.

Uśmiechnęłam się, bo uwielbiam ludzi, którzy nie umieją się powstrzymać przed wyjaśnianiem, zwłaszcza takich, którzy w y r a ż n i e akcentują w a ż n e słowa, jakby przywykli do rozmów z i m b e c y l a m i.

– Tak, proszę pani, ale słyszałam, że mogłaby mi pani pomóc.

Wiedziałam, że lepiej jej nie mówić, że byłam tu też w tym celu, by pomóc jej w podstawowych codziennych czynnościach – jak mycie tłustych włosów i dbanie o to, by zjadła tyle, żeby przeżyć do jutra.

– Kto, do licha, powiedział ci, że pomogę ci z jakimś cholernym podaniem na studia?

– Moja mama... Adele Kavanagh. Ona też jest artystką.

– Nigdy o niej nie słyszałam.

Dłoń, w której niby trzymała strzelbę, wysunęła się zza drzwi, żeby zatknąć za ucho zbłąkany kosmyk włosów.

Ach... Co za ulga.

– Współpracuje z Galerią Kaelin w mieście. Spotkała się z panią kilka razy. Podobno wspominała pani, że przydałby się pani ktoś do pomocy w domu.

– Czemu miałabym mówić coś takiego? Nie chcę nikogo w swoim domu. – Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów. – Zwłaszcza takich jak ty, co uszczęśliwiają innych na siłę.

– Aha. – Próbowałam nie pozwolić, by poczucie krzywdy wymalowało się na mojej twarzy.

– Jestem stara, na litość boską! Ludziom się wydaje, że wymyślą dla mnie coś nowego. Głupie, głupie, głupie... – Jej słowa rozplynęły się w pomruk, który zrozumiała tylko ona sama.

– Mogłabym pomalować pani ganek, o tutaj, gdzie łuszczy się farba. Albo pomóc wysprzątać podwórze. Nie muszę wchodzić do środka.

Jo pokręciła głową, a potem wyciągnęła obie ręce do góry, teatralnie próbując mi pokazać, żebym przestała gadać.

Podrapałam się w głowę.

– A więc... Nie?
– Nie. – Uśmiechnęła się sarkastycznie.
– Dobrze, dziękuję pani Russell. Przepraszam, że panią niepokoiłam.

Odwrociłam się z powrotem do jeepa. Zanim otworzyłam drzwi, zobaczyłam przed oczami twarz Henry'ego, który swoimi brązowymi oczami błagał mnie, bym spróbowała jeszcze raz. Mówił: „Możemy być w Laramie razem”.

– Chyba źle się wyraziłam – zawołałam z podjazdu. – Chodzi o to, że potrzebuję kreatywnej mentorki, a pani jest najlepsza. Chcę napisać o pani w moim podaniu na UW, bo próbuję dostać się na kurs pisarstwa dla absolwentów, nie będąc jeszcze absolwentką. Nie mam kwalifikacji, ale bardzo tego chcę.

Tym razem mnie nie uciszyła i nie kłóciła się. Nabrałam pary.

– Czy pani otrzymała od kogoś pomoc, gdy została pani artystką?

Jo uniosła jedną brew, zaczęła skubać strup na przedramieniu i zesła z ganku, żeby przyjrzeć się mojemu jeepowi.

– Znam to auto. Z księgarni Wind River Books.

– Pracuję tam po szkole. Ale chcę pracować dla pani. Podziwiam pani obrazy.

W jej klatce piersiowej zadudnił głęboki śmiech i jednocześnie wydała z siebie chrapliwe parsknięcie.

– Ta, jasne. – Uniosła twarz do nieba. – Słyszałaś już takie słowo jak „lizusostwo”?

Oblałam się rumieńcem. Bo tak jakby... miała rację.

– To który jest twój ulubiony? – Odwróciła się do mnie plecami i zajrzała przez okno do mojego jeepa.

– Ten ze starym ranczerem. Tym piegowatym.

– To plamy od słońca. Clifton Weatherby. Nie wiem, co ludzie widzą w tym obrazie. Jest kiepski. Nie mógł usiedzieć bez ruchu, bo zeszywniałby do artretyzmu.

– Chodzi o jego oczy. – Przyglądałam się temu obrazowi w albumie w naszej bibliotece tak długo, że mogłam bez trudu przywołać go w pamięci. – Myślę, że wygląda na zagubionego.

– Bo był zagubiony. Biedny, stary Clifton. Pozował mi na tydzień przed upływem daty ważności. Już śmierdział rozkładem. – Patrzyła na mnie wyzywająco, czekając na reakcję.

Zrobiłam krok w jej stronę i uniosłam dłoń w dwupalcowej rękawiczce tak samo, jak robiła moja terapeutka Robin, kiedy myślała, że nastąpił punkt zwrotny.

– Zapewne był pani przyjacielem.

Zamknęła oczy.

– Nie znosiłam go.

Ruszyła w stronę szopy za domem. Poszłam za nią, bo nie byłam pewna, czy już ze mną skończyła.

– Jesteś dziewczyną Whitmire'a, prawda?

Dreptałam tuż za nią jak rozochociony pies.

– Tak. Henry to mój... Jesteśmy parą.

Weszła do szopy i zaczęła szperać w stosie narzędzi, aż wyciągnęła starą miotłę i podała mi. Wzięłam ją i czekałam na instrukcje.

– Gdzie on jest? Na studiach?

Odchrząknęłam.

– Nie, proszę pani. Wyjechał do Nikaragui, pomaga w sierocińcu prowadzonym przez siostrę i jej męża. Spędzi tam rok.

– Rok? – Prychnęła. – W służbie humanitarnej? Jaki nastolatek robi coś takiego? Powinien zaliczać panienki na jakimś kampusie.

Poczułam, jak sztywnieje mi kręgosłup w gotowości obrotu wyborów Henry'ego.

– Skończył szkołę w maju i chciał zrobić coś ważnego, zanim pójdzie na studia.

– Ważnego. – Obracała to słowo w ustach, jakby je próbowała.

– Tak. Ważnego.

Wzruszyła ramionami.

– No cóż, chyba sierociniec w brudnym, biednym kraju pasuje do tego opisu.

Pokiwałam głową.

– Później wyjedzie na Uniwersytet Wyoming. Ze mną, mam nadzieję.

– Ma miłą rodzinę – powiedziała, jakby w odpowiedzi na kotłujące się w jej myślach pytania. – Znam ich od dawna. – Odwróciła się do półki na ścianie i zaczęła przestawiać zardzewiałe puszki po kawie pełne gwoździ i śrubek. – Jeśli Whitmire'owie uważają, że jesteś dość dobra, chyba możesz wysprzątać moją szopę. Narzędzia są porozrzucane, a w czasie burzy w zeszłym tygodniu nawiało tu pół podwórza.

– Tak, proszę pani.

– Rozumiem, że chcesz, bym podpisała ci coś do szkoły.

– Raczej nie. Napiszę potem pracę o moich doświadczeniach. O tym, czego nauczyłam się w czasie, który spędziłyśmy razem.

Prychnęła.

– To będzie bardzo krótkie wypracowanie.

Jo przeszła przez podwórze na tylną werandę i zniknęła, zatraskując za sobą fioletowe drzwi. Patrzyła na mnie przez minutę przez okno, po czym zaciągnęła zasłony.

Zerknęłam na niebo. Nadciągał deszcz, więc miałam jakąś godzinę, zanim zamiast pyłu będę wymiatać błoto.

2

meg

– Co to za czerwień? – zapytał Thanet, ciągnąc mnie za kurtkę palcami sztywnymi z powodu mózgowego porażenia dziecięcego i chłodu panującego w korytarzu. – To wykracza poza twoją zwyczajową paletę szarości. Nie wtapiasz się w otoczenie.

– Łapy precz. To kurtka Wyatta.

Znalazłam ją ubiegłego wieczoru, kiedy przeglądałam pudła z rzeczami po bracie, które moi rodzice przywieźli do Wyoming z sentymentu. Wcześniej nie przyszło mi do głowy, żeby nosić jego ciuchy.

– A... sorry. Nie wiem, co na to odpowiedzieć. – Przełknął ślinę i wyglądał na szczerze skruszony.

– To nie odpowiadaj. Wiesz, że to w porządku.

Staraliśmy się oszczędzać sobie nawzajem pełnych litości słów. Kiedy Thanet miał dwanaście lat, jego tata zmarł na raka. Mówił mi, że był wyczerpany, patrząc, jak ludzie usiłują użyć „właściwych słów”.

Później razem jedliśmy lunch na korytarzu łączącym stółkę z salą gimnastyczną. Nasza obiadowa grupa została zdziętkowana przez konflikt planów lekcji, więc zazwyczaj byliśmy z Thanetem sami. Siedzieliśmy na podłodze

i mieliśmy cały korytarz dla siebie. Tylko my... no i Abby O'Neill, dziewczyna ze snów Thaneta.

Była nową, cichą pierwszoklasistką i wołała siadać na krzesłach rozstawionych w korytarzu i czytać niż udawać duszę towarzystwa w stołówce. Jej brat Quinn chodził do matralnej klasy i zazwyczaj przysiadł koło niej na podłodze albo na sąsiednim krześle. Wyglądał jakby żywcem wyjęty z wideoklipu muzyki indie – wysoki i patykowaty, w ciemnych, obcisłych dżinsach i niskich kozakach, zniszczonym, ciemnym wełnianym płaszczu i nisko naciągniętej czarnej czapce.

Chodził ze mną na angielski, więc widziałam go bez czapki – miał lśniące czarne włosy i jasnoniebieskie oczy. Nie mógłby wyglądać bardziej irlandzko.

– Idź, Thanet. Zagadaj do niej. – Szeptalam mu tak każdego dnia, odkąd zauważyłam, że gapi się na Abby. Już zaczynało mnie to nudzić. – Zabujałeś się w niej na amen.

– Nie chcę robić jej siary.

– To bez sensu – odparłam cicho. – Co ona dzisiaj czyta?

– Murakamiego. Co czyni ją, prawdę mówiąc, idealną. Murakaaamiego, kurczę, Meg...

Kiedy zaczął jęczeć, wiedziałam, że zadurzył się na poważnie. Thanet gryzł paznokieć u małego palca, kiedy się denerwował. Wyciągnęłam rękę i wyjęłam mu go z ust.

– Widzisz? Mówicie tym samym językiem. Możesz z nią pogadać o podziemnych światach i... no nie wiem... wszczępialnych elektrodach.

– Ha, ha. Bardzo śmieszne. Ona siedzi pół kilometra dalej. Upadnę, próbując do niej dojść, i na zawsze pozostanie jej trauma po odrażającym Kuternodze.

Zgromiłam go wzrokiem za używanie ksywki, która przylgnęła do niego, gdy przeprowadził się do Chapin.

– Mogę pójść z tobą. Miniemy ją, obrócimy się i zagadamy: „O, nie wiedzieliśmy, że tu jesteś”. Przydałby się jej przyjaciel, Thanet.

– Na pewno nie szukasz jakiejś wymówki, żeby zagadać do Quinnly O’Ballivana O’Neilla? – odrzekł.

– Co?

– Przestań. Nie udawaj, że go nie zauważyłaś. Przecież kochasz irlandzką muzykę.

Odchylił się, żeby zobaczyć moją twarz. Nieznacznie się uśmiechał.

– On nie jest irlandzką muzyką. To pozer i wcale nie próbuję do niego zagadać. – Właśnie odkryłam, że trudno jest szeptać, gdy przyjmuje się postawę obronną.

Thanet przyglądał mi się przez chwilę, więc pokazałam mu język. Wcale nie obserwowałam Quinna O’Neilla. To nie dlatego tu siedzieliśmy. Usiedliśmy na tym korytarzu, zanim Quinn tu przyszedł z lekturą dnia. Opanował do perfekcji epatowanie ławkową samotnością, które sami ćwiczyliśmy, a to oznaczało, że lepiej szło mu odrzucanie zatęchłej społeczności szkolnej niż nam. Czytał *Spójrz ku domowi, aniele*, a to było... po prostu... bardzo wymowne.

– No dobra, Than, wyrzuc to z siebie. Co ci się kotłuje w tym twoim mózgu?

– Nic. – Wzruszył ramionami i wsadził mały palec drugiej ręki do ust. – A co u Henry’ego?

Westchnęłam.

– Ten tok rozumowania jest błędny. Nie próbuj łączyć kropek między Quinnem, mną i Henrym. Martwi się o jakiegoś

dzieciaka, z którym pracuje, i to go dołuje. Chyba chce wrócić do domu.

Quinn podwinął tylną okładkę swojej książki, oparł się o ścianę za plecami i rozejrzał spod czapki. Akurat się w niego wpatrywałam, kiedy na mnie zerknął. Skinął w moją stronę podbródkiem, a ja najwyraźniej nie jestem odporna na ten gest, bo oblałam się rumieńcem. Jak faceci to robią? Nawet nie muszą się starać. Udałam, że go nie zauważyłam, oparłam policzek na dłoniach i wpatrzyłam się w Thaneta, który wodził wzrokiem między mną i Quinnem.

– Martwię się o moje podanie na UW – powiedziałam, przekierowując rozmowę z powrotem na rzeczywistość. – Zapisałam się na wolontariat u artystki w mieście, a ona mnie nienawidzi.

– Nikt cię nie nienawidzi. Nie da się.

– Mówię serio. Nawet nie wpuszcza mnie do domu. Myśli, że przenoszę choroby.

– To chyba nie Jo Russell, co?

– A jeśli powiem, że tak?

Thanet prychnął tak, jak tylko on potrafił.

– Ona jest gorzej niż porąbana. Przychodzi czasem do księgarni i doprowadza moją mamę do szału. Czemu ona?

– Ona... ma przyćmiony umysł. Nie ma rodziny i traci sprawność.

– A ty masz jakieś doświadczenie z takimi ludźmi?

Thaneta oczywiście nie było przy mnie w trudnych chwilach w zeszłym roku, kiedy opiekowałam się mamą. I nie planowałam mówić mu o tej części mojego życia.

– Mam trochę doświadczenia. Wiem, że samotność jest dla niej trudna. Chodzi o moje podanie na studia, dziwaku.

Musi być idealne. Co jeśli Henry... – urwałam, bo zobaczyłam, że Thanet patrzy na coś ponad moim lewym ramieniem.

Quinn schylił się i usiadł na podłodze obok mnie.

– Cześć, ziom – powiedział Thanet. Nawet jeśli był podejrzliwy wobec Quinna, zamierzał być miły dla nowego ucznia i brata dziewczyny, w której się zabujał.

– Cześć.

Quinn wyglądał, jakby usilnie zastanawiał się, co powiedzieć dalej. Rozchylił lekko usta i zmrużył oczy w zamyśleniu. Dokładnie w taki sam cichy, poważny sposób Wyatt podchodził do rozmów. Bez pośpiechu. Bez stresu. Z bliska Quinn wydawał się mniej pewny siebie i bardziej chłopięcy. A końcówki ciemnych włosów podwijały mu się na czapkę. No dobra, to było urocze.

Wyciągnął do mnie rękę.

– Jestem Quinn. Chodzisz ze mną na angielski, prawda?

Uścisnęliśmy sobie dłonie tak, jakby zrobili to nasi rodzice. Podał też rękę Thanetowi – uszanowałam ten gest, bo dłonie Thaneta są powykrzywiane i niektórzy ludzie unikają dotykania go. Co doprowadza mnie do szału, bo, naprawdę, dorośnijcie wreszcie.

– Tak, mamy razem angielski. Jestem Meg, a to Thanet.

– Czemu siedzicie tu codziennie?

– Zostaliśmy wygnani z grupy rówieśniczej – odpowiedział Thanet.

– Cool – stwierdził Quinn i wyprostował się z zainteresowaniem. – Co narobiliście?

– Meg nie współgra z innymi.

Zgromiłam Thaneta wzrokiem.

– Aha. Ja też – odparł Quinn.

Za każdym razem, gdy zmieniał pozycję, czułam wokół siebie zapach czystego prania i szamponu.

Musiałam przerwać niezręczną ciszę.

– Skąd się przeprowadziłeś?

– Charlestown, Rhode Island. Pewnie kiedy lepiej mnie poznasz, będziesz chciała, żebym ci opowiedział o Josephie Stantonie.

– O kim? – spytał Thanet.

– No właśnie – odpowiedział Quinn. – A ty? – Spojrzał mi w oczy, żeby dobitnie pokazać, że mówi do mnie.

– Skąd wiesz, że się tu przeprowadziłam?

– Poznałem po dżinsach. Po pierwsze, są obcisłe. Po drugie, nie są niebieskie. – Pochylił głowę w stronę moich nóg i uśmiechnął się. – I nie masz kurtki z logo Przyszłych Farmerów Ameryki.

Twarz znowu zapłonęła mi rumieńcem. Zwrócił uwagę na moje ciuchy!

– Ja pochodzę z okolic Pittsburgha, a Thanet jest z Chicago.

– Waszych rodziców też przyciągnęła obiecana utopia Wyoming? – spytał Quinn.

– Coś w tym stylu... – Wyciągnęłam nogi przed siebie i oparłam się o ścianę.

– Moja mama użyła sformułowania „Brook Farm”, kiedy wybrała Chapin na mapie – powiedział Thanet. – Mówiłam jej, że ta cała Brook Farm i inne transcendentalne wspólnoty były w Massachusetts, ale nic jej to nie obchodziło.

Quinn się roześmiał i uniósł brew.

– To dopiero słodkie. Co to miejsce ma wspólnego z Brook Farm? Oprócz wspólnej pracy. I egalitarystycznej wymiany myśli.

Patrzył na mnie, a ja z całych sił próbowałam znaleźć jakąś odpowiedź, ale nic nie przyszło mi do głowy.

– Mamy również „oczekiwanie na erupcję superwulkanu w Yellowstone” – powiedział Thanet. – A Meg pracuje w księgarni mojej mamy. A przez resztę czasu siedzi na Skype ze swoim chłopakiem.

Szturchnęłam Thaneta łokciem, a Quinn się zaśmiał.

– Miłość na odległość, co? – powiedział. – *True love travels on a gravel road.*

Prawdziwa miłość podróżuje po żwirowej drodze?

– Kto to powiedział? Sam to napisałeś? – zapytałam, przeglądając mentalną bazę poezji w poszukiwaniu źródła tych słów.

– Ja? Nie. Percy Sledge. Dobra piosenka. Gdzie ta księgarnia? Przeprowadzę tam swoją siostrę, żeby uzupełniła zapasy. Lubi tanie wydania w miękkich okładkach.

– To Wind River Books przy...

Zanim zdążyłam dokończyć, Thanet przerwał mi:

– Przeprowadź ją tam. Dzisiaj. Zdecydowanie. Będziemy.

Odwrociłam się do niego i zrobiłam wielkie oczy, próbując wysłać mu telepatyczną wiadomość, żeby zwoolnić i wyluzował. *Chcesz się spotkać z Abby, to nie wystrasz jej starszego brata.*

– Ja mam dzisiaj wolne – powiedziałam. – Będę u Jo w ramach próby wolontariatu.

– Ach, tak – odparł Thanet. – Meg będzie ponosić klęskę w wolontariacie.

– Może i tak wpadniemy – rzekł Quinn, prostując nogi i wstając. Skrzyżował ręce na piersi i patrzył na mnie z góry przez minutę. Nie byłam pewna, czego oczekuje.

– Dobra, cześć – powiedziałam.

Roześmiał się, aż kilka osób przechodzących korytarzem się odwróciło. Nie spodziewali się takiego ciepłego, radosnego śmiechu od kogoś o tak mrocznym i ponurym wyglądzie.

– Kavanagh – wyartykułował. – Tak masz na nazwisko, prawda? Irlandzkie. Oznacza: „Ten, który podąża za Kevinem”.

– No i? – odparłam.

Znowu się roześmiał i pokręcił głową.

– Miałem nadzieję, że zrobię na tobie wrażenie swoją wiedzą o starym kraju. – Wzruszył ramionami. – Do zobaczenia na angielskim.

Skinął głową do Thaneta i odszedł do Abby, która czekała na niego w drzwiach stołówki. Coś jej powiedział. Zerknęła na nas ponad jego ramieniem i uśmiechnęła się. Wydawało mi się, że słyszę, jak Thanet dławi się własnym językiem.



Po drodze do domu Jo Russell mijałam księgarnię i zobaczyłam Quinna przytrzymującego drzwi dla Abby. Miałam nadzieję, że Thanet był na parterze, kiedy przyszli, bo kręcone schody w sklepie to był dla niego prawdziwy dramat. W przeszłości miałam już do czynienia z jego fizycznymi obrażeniami, ale jeszcze nigdy nie widziałam, by oszalał na punkcie jakiejś dziewczyny. Strzał prosto w serce Thaneta byłby dla mnie nie do zniesienia.

Uwielbiałam długie popołudniowe cienie, oznaczające zbliżający się zachód słońca – o wpół do siódmej o tej porze roku w Wyoming. Ale o wpół do piątej, kiedy zaparkowałam na podjeździe Jo, czułam, że ten dzień już się skończył.

Większość ludzi nienawidzi krótszych dni, ale jest w nich coś, co mnie ujmuje. Brak światła sprawia, że kończą pracę, zamykają się w sobie, idą do domu uściskać dzieci. Wyatt zawsze w takie popołudnia był w nastroju do głębokich rozmów.

Dom Jo stał całkiem ciemny i też rzucał długi cień. Jedyne światło paliło się w niewielkiej pracowni za domem. Starszuszka przemknęła za szybą, przystając, by wyjrzeć na zewnątrz.

– Tutaj jesteś – szepnęłam.

Nie spojrzała w moją stronę.

Wysiadłam z jeepa i biodrem zamknęłam drzwi. Musiałam przejść przez jej podwórze, żeby do niej dotrzeć, a liście szeleściły mi pod stopami. Mimo to i tak mnie nie usłyszała.

Mówiła coś, więc schowałam się za drzewem. Jej głos był cichy, ale pewny i opanowany. Nie kąśliwy jak wtedy, gdy pierwszy raz ją spotkałam. Jej ton unosił się i opadał niemalże lirycznie. Od czasu do czasu przechodził w szept, a potem znowu narastał. Przysunęłam się bliżej i zajrzałam przez okno.

Mówiła do małego chłopca. Nie prawdziwego... do obrazu. Nie pozował formalnie. Został namalowany w ruchu – był zamazany, nie licząc twarzy, która miała wyraźne rysy. Moja mama uznałaby, że takie zatrzymanie czasu jest genialne. Jego koślawy uśmiech był bardzo chłopięcy, ale oczy

ukazywały starą duszę. Unosił wzrok prosto na artystkę, a jego oczy mówiły: „Jestem szczęśliwy”.

Postanowiłam zostawić ją sam na sam ze wspomnieniami i odwróciłam się, żeby odejść. Poruszyłam się zbyt gwałtownie i ułamałam gałąź ramieniem. Zastygłam, wstrzymałam oddech i zaczęłam się modlić. Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem, a Jo złapała mnie za bark kościstą dłonią i obróciła twarzą do siebie.

– Stój. – Jej głos, który jeszcze chwilę wcześniej był łagodny, niemalże słodki, znowu zrobił się ostry i gorzki. – Wezšlaś na mój teren.

– Pani Russell, to ja, Meg. Nie chciałam pani wystraszyć.

– Zabieraj się stąd i wracaj do auta. – Jej ton nie znosił sprzeciwu, chociaż postawa jej ciała również była wymowna. Kiedy otworzyła drzwi szerzej i wyszła, jej przygarbione ramiona i zapadnięta klatka piersiowa wskazywały, że czuła się zagubiona. I pokonana.

– Niech pani spojrzy na te liście – powiedziałam. – Kiedy przyjadę następnym razem, powinnam je zgrabić.

– Nie będzie następnego razu – odparła.

– Pani Russell... Czy mogę pani dzisiaj w czymś pomóc? Może zrobię pani kolację?

Wcisnęła rękę do kieszeni i spojrzała na mnie gniewnie.

Skinęłam głową w stronę okna pracowni. Z tej odległości twarz chłopca była wyraźna.

– Ten obraz... Czy to pani syn?

Wyciągnęła rękę za siebie i zatrzasnęła drzwi, a ciałem zasłoniła mi okno. Nie dała mi wyboru. Odwróciłam się i pospiesznie ruszyłam do jeepa. Sąsiedzi przyglądali się zza firanek, zapewne czekając, aż Jo zacznie strzelać. Kiedy byłam

już blisko jeepa, podeszła bliżej i popchnęła mnie. Przyłożyła dokładnie tyle siły, ile było trzeba, żebym się potknęła i upadła na żwirowy podjazd, raniąc sobie dłonie i rozdzierając dżinsy.

No nieźle... Przeżyłam już w życiu trochę wstydliwych chwil, ale to, że staruszka powaliła mnie na oczach sąsiadów – którzy swoją drogą nie zrobili nic, tylko zaciągnęli zasłony – sprawiło, że poczułam się jak błazen.

Od: Henry Whitmire

Do: Meg

Temat: Prawa uniwersalne i miłość

Nie ma prawa, które mówiłoby, że nie mogę zmienić zdania. Zmieniłem. Zmieniłem zdanie. Chcę wrócić do domu, do Ciebie.

Boję się. Nie dlatego, że jestem w niebezpieczeństwie. Boję się, że wszyscy, na których mi zależy, w końcu zobaczą, że nie wiem, co robię. Powinienem naprawiać dach i wykańczać budynek, ale tak naprawę jeszcze nie zacząłem. Nie wiem nawet, skąd wziąć tutaj odpowiednie materiały. W domu w tym czasie już bym postawił i wyposażył trzy stodoły.

Pamiętasz tego dzieciaka, o którym Ci mówiłem? Rafa? Piętnastolatek, były członek gangu. Muszę go krótko trzymać, bo inaczej zaczynają się problemy. Dzisiaj nawaliłem – straciłem nad sobą panowanie. Zasłużył sobie, ale miałem im tu służyć i ich chronić, a nie wywoływać szkody psychiczne.

On i ja... doszliśmy do mostu i albo przejdziemy go razem, albo on założy mi pętlę na szyję i mnie zepchnie.